

Wychodzi w każdą
Sobotę.

Cena prenumeracyjna
w całej Austrii:
rocznie 8 zlr.—półrocznie
4 zlr.—kwartalnie 2 zlr.

w Niemczech:
rocznie 5 tal.—półrocznie
2 tal. 15 sgr. kwartalnie
1 tal. 8 sgr.

w Francji:
rocznie 21 fr.—półrocznie
11 fr.—kwartalnie 6 fr.
Numer pojedynczy 20 ct.

Redakcja: Ulica
wałowa Nr. 19.

ŚWIT

Główne agencje: we
Lwowie księgarnia K.
Wilda, w Krakowie
księgarnia J. Wilda, w
Poznaniu księgarnia J. K.
Zupańskiego.

Rękopisy nie przyjęte
do druku zwracają się w ra-
zie zażądania.

Szanownych autorów
i nakładców, życzących so-
bie znaleźć w „Świcie”
wzmiankę lub rozbiór kry-
tyczny swych dzieł pro-
simy o nadesłanie Redak-
cji egzemplarzy takowych.

TYGODNIK NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Treść: Kwestya słowiańska. — Ksiądz Hugo Kołłątaj i jego prześladowcy, szkic biograficzno-krytyczny przez Henryka Schmitta. (C. d.) — Cyd, według Romancero hiszpańskiego z przekładu Herdera, przez Władysława hr. Tarnowskiego (wiersz). (C. d.) — Pitagoras, ustęp z dziejów Hellady, przez Dr. Władysława Daisenberga. (C. d.) — Na orlich szczytach, przez M. J. D. (wiersz). — Nowy obraz Jana Matejki, przez Alfreda Szczepańskiego. (Dok.) — Wystawa sztuk pięknych we Lwowie, I. — Przegląd teatralny, przez Bronisława Zawadzkiego. — Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

KWESTYA SŁOWIAŃSKA.

Do wielu przywidzeń, które nas udęcają coraz bardziej w miarę większej liczby doznanych rozczarowań, doliczyć należy jedno nowe przywidzenie, które się staje tem niebezpieczniejszem, iż przemawia w imię potęgi, najbardziej dziś uznanej w logice rzeczy ludzkich, w imię trzeźwego rozsądku. Każą polityce naszej wyemancypować się ze „szkolnictwa“ t. j. z pragnienia samoistności jako państwa, bo taka polityka jest tylko „czcza jak wór sieczki frazeologia“ — jest „siekaną serca.“

Powiadają, że we wieku „spełnionych czynów“, we wieku uznania historyzoficznego pewnika, że znana w prawie prywatnym „restitutio in integrum“ nie ma zastosowania w polityce i historii, powinniśmy otrząść się z płonnych złudzeń i romantycznej wiary w odrodzenie państwowe i wyrzekłszy się przyszłości politycznej, zapewnić sobie w zlanu z inną plemienną nam pokrewną społecznością, przynajmniej korzystną pozycję społeczną. Zgodźmy się na odmiane formy naszego bytu i przyjmijmy kombinację polityczną, „do której wejść możemy z zachowaniem narodowej godności, bez najmniejszego uszczerbku honoru, bez konieczności zatarcia cech znamionujących naszą narodową indywidualność.“

Postawmy sobie rzecz jasno przed oczami. Jest więc, jak powiada, autor słów objętych w cudzysłowie, możebną pewną kombinacją, do której przystępując zachowalibyśmy — co? — „narodową godność.“ Wsłuchajmy się dobrze w brzmienie słowa, które tym razem nie jest frazesem, ale programem. Dotychczas nakazywano nam po wielokroć razy strzedz „narodowej godności“ jak koronnego klejnotu, ale tę straż drogocennej spuścizny uważano tylko, jako straż przejściową, dążącą do zachowania moralnych dóbr narodu przez ten smutny okres, który nas dzieli od doby politycznego odrodzenia. W dniach niewoli i pokuty każdy krok nasz powinien być nacechowany dążnością utrzymania narodowego honoru, powinien być kierowany myślą wewnę-

trznego udoskonalenia, myślą obmycia narodowej duszy z brudów i nałogów, które nas stoczyły w przepaść. To słuszne. Ale to jest program pracy na dziś. Jeżeli zaś w słowach „straż narodowej godności“ ma się już zawierać program zupełny na przyszłość; jeżeli więc każecie strzedz „honoru dla honoru“, a nie „honoru dla życia“, to należy wyraźnie napiętnować, że tu opuszczono świadomie po raz pierwszy jeden olbrzymi wyraz — oswobodzenie państwowe narodu. Wyrzekłszy się tego wyrazu, pojmujemy, że stanowisko się upraszcza, rzecz ułatwia, kombinacja już wszelka umozżliwna. W niej nie ma (?) niebezpieczeństwa zatarcia cech znamionujących naszą odrębność indywidualną — to może i prawda, ale jest w niej konieczność a bdykacyi politycznej. A tego jeszcze nie chcemy. Ze stu-letniej pracy na polu umysłowego i materialnego rozwoju, która odmieniła tak znacznie i to na lepsze fizyognomję naszą od r. 1772, z pracy, „której rezultatów nawet najzaciętsi wrogowie naszych przyrodzonych praw i naszej narodowości — Niemcy,“ zapoznać ani lekce- ważyć nie mogą, wysnuwamy wręcz przeciwny tamtemu wniosek. „Naród, który przed wiekiem upadł w rozprężeniu i niemocy, a który po stu latach, po dwóch rzeziach i trzech wyczerpujących do dna powstaniach — staje młody i czerstwy oko w oko z wrogiem i woła: „Oto jestem, poznaj mnie po moich pracach“ — naród taki ma niezaprzeczone prawo bytu i rękojmię przyszłości.“

A więc nie czas jeszcze na wchodzenie w takie kombinacje, gdziebyśmy mogli zachować tylko „narodową godność“ i „cechy znamionujące odrębność indywidualną.“ Pominawszy to, że naród podporządkowujący własnowolnie i świadomie swą wcale jeszcze niewatpliwą samoistność, nie może mówić o zachowaniu „godności“, to nie umiemy wyobrazić sobie na zimno zlania się dwóch społeczeństw, chociażby plemiennie spokrewnionych tak, aby jedno z nich, materialnie silniejsze, w bardzo krótkim czasie nie obudziło w sobie instynktów brutalnej

przemocy i nie zapragnęło hegemonii nad plemieniem słabszym, sięgającej do głębi narodowych dóbr tegoż plemienia — sięgającej do języka, obyczaju, piśmienictwa, religii. Historia nie zna takich platonicznych związków, w którychby nie było materialnej pożyteczności, a tylko grały moralne pobudki i uczucia romantyczne. Jest pewna brutalność na dnie ludzkiej duszy, którą zażegnać może do pewnego stopnia cywilizacja, ale której wykorzenić nie można do gruntu. Takie jest prawo historyczne u ludów, ceniących wysoko cnotę i słuszość w rzeczach międzynarodowego współbytu.

Ale któreż to jest owo plemię, z którym wejśćbyśmy mogli w kombinację „honorową“ i bezpieczną?.. Ostatnie słowo Niemców słyszeliśmy z ust ks. Bismarka i hr. Eulenberg — brzmi dno: „zagłada.“ A więc o sojuszu z Niemcami nie ma już stanowczo mowy — zostaje Rosya. „Polacy i Rosyanie nie mogą w obecnej dobie zrobić nic mądrzejszego, jak podać sobie szczerze i stanowczo rękę do zgody, odpowiadając tym sposobem najserdeczniejszym życzeniom całej słowiańskiej rasy“.

Gdzie tu romantyzm uczucia — gdzie tu frazeologia? Czy po naszej stronie, którzy opierając się na świadectwie historii i naturze ludzkiej, będącej tą samą w jednostce i w narodach, opierając się wreszcie na po-

znaniu interesów politycznych i celów narodowych Rosyi, powiadamy, że koniecznością państwową dla tejże jest zgładzenie Polski, reprezentującej wręcz odmienne pojęcia społeczne, polityczne, religijne i naukowe, że jakkolwiek związek zawarłaby z nami Rosya, byłby to związek uludny, dążący do uspienia podnieconych organów naszego życia a w danym czasie, do pochłonięcia nas; — czy po stronie drugiej, która w nienawiści ku Niemcom zapoznaje, iż może się kiedyś wytworzyć dla tychże polityczny cel w odbudowaniu Polski jako przeciwwagi w obec pochłaniającej wszystko a wówczas już może zjednoczonej z całą, na błędne drogi sprowadzoną Słowiańszczyzną; że nienawiść ku nam Niemców, jakkolwiek rasowa, mniej ma dla nas niebezpieczeństw, bo ani polityka nie jest fizyologią, ani Niemcy nie mogą pragnąć w obec oświeconych pojęć XIX a może i XX wieku zgermanizowania całych plemion; że wreszcie istnienie Polski dla Niemców jest kwestyą dogodności, dla Rosyi jest — kwestyą bytu?

Tyle w odpowiedzi „Tygodnikowi Wielkopolskiemu“ i „Correspondance Slave“.

Redakcja: „Świtu“.

KSIAŻDZ HUGO KOŁŁATAJ

i jego prześladowcy,

szkic biograficzno-krytyczny

przez

HENRYKA SCHMITTA.

(Ciąg dalszy.)

W takim składzie stosunków było łatwo przewidzieć, jak wypadnie głosowanie i za czem się oświadczy większość straży na pamiętnem posiedzeniu 23. lipca odbytem, jak wiemy, po poprzedniej poufnej naradzie króla z rodziną i przyjaciółmi, na której stanęło, że trzeba zadość uczynić żądaniu carowy. Chcąc orzekać bezstronnie, należy sobie dobrze uprzytomnić chwilę, w której miało się odbyć to posiedzenie straży. Po nadejściu szorstkiej z Petersburga odpowiedzi, odrzucającej z szyderstwem i wzgardą propozycję wyniesienia na tron wnuka carowy, a nakazującej przystąpienie do Targowicy, miano dwie tylko drogi do wyboru. Trzeba było albo zgodzić się na rozpaczliwą walkę do upadłego w obronie nowej ustawy rządowej, albo zdawszy się na łaskę carowy przystąpić z jej rozkazu do Targowicy, która postanowiła uchylić tę ustawę, jako niby pogwałcającą odwieczne prawa i swobody Rzeczypospolitej. Chcąc walczyć, należało z góry mieć pewność, że ogół narodu ukochawszy nową ustawę, stanie cały w jej i ojczyzny obronie. Lecz tej właśnie pewności nie było wcale, skoro część ziemian przystąpiła już do Targowicy, a w samej straży było na 12 członków aż 6 jawnych lub tajemnych przeciwników ustawy 3. Maja, na dobitkę zaś nadchodziły ciągle wiadomości do Warszawy, że część oficerów różnych stopni sprzyja Targowiczanom, i dla tego donosi im a przez nich Moskalom o wszystkim, co się dzieje w obozie lub postanawia na radach wojennych. O tem więc, by cały naród stanął do walki z Moskwą w obronie niepodległości ojczyzny, nie mogło być mowy, zwłaszcza że i król od dawna nie myślał o

niej na prawdę, chociaż dla formy zwołał posiedzenie straży.

Jeżeli zaś dzięki czy to nieprzezorności patryotów czy też złej woli ich przeciwników kraj na wypadek wojny nie był należycie przygotowany, a w chwili stanowczej brakło bohaterskiego w masie narodu zapału i poświęcenia, co wszystko zniewalało do poddania się smutnej konieczności, jaką było wykonanie rozkazu carowy: powinien każdy bezstronny badacz owych czasów rozważyć sumiennie pobudki, któremi powodowali się pojedynczy członkowie straży przy głosowaniu, zanim wyda sąd o nich stanowczy. Pobudki te mogły być dwojakie, ponieważ głosującym chodziło albo o ubezpieczenie całości przynajmniej kraju pod zwierzchnią jak dawniej opieką Moskwy, a tem samem o zapobieżenie nowemu rozbirowi tegoż, albo o własną wyłącznie korzyść. Do ocenienia zaś prawdziwych pobudek każdego z głosujących nie może być skalą twierdzenie przyjaźne lub nieprzyjaźne jego stronnika lub przeciwnika, lecz w życiu jego całem należy szukać tej skali.

Na tej opierając się zasadzie, rozważmy głosy diane na wspomnionem posiedzeniu straży. Z ośmiu, którzy oświadczyli się za przystąpieniem do Targowicy, było 6 przeciwników ustawy 3. maja. Siódmy t. j. Kazimierz Sapieha nie należał do jej twórców, chociaż nie chcąc rozrywać zgody, zaprzysiągł ją wraz z większością patryotyczną. Sam więc tylko Kołłataj, jako ósmy z głosujących za tem przystąpieniem, może być i był rzeczywiście pomawiany o zmiennictwo, ponieważ doradzając złączenie się z konfederacją targowicką, doradzał tem

samem uchylenie nowej konstytucji, skoro też konfederacja zapowiedziała wyraźnie w swym akcie, że celem jej głównym jest obalenie wszystkiego, co spiszek 3. maja ustanowił ze szkoda praw i swobód Rpltej. Cóż mogło skłonić Kołłątaja, który tak ważną odegrał rolę przy ustanowieniu rzeczony konstytucji do odstrzygnięcia się przy głosowaniu od Ignacego Potockiego, Sołtana, Ostrowskiego i Stanisława Małachowskiego? Linowski twierdził w r. 1795 a Luc. Siemiński zaręcza obecnie, że główną pobudką do tego była chęć zatrzymania podkancelerstwa i rozległych majątności tak świeckich jak duchownych, które posiadał. Obaj ci i inni oskarzyciele jego nie uwzględnili jednakże bardzo ważnej okoliczności, a mianowicie, że człowiek tak bystrego rozumu byłby niezawodnie najstosowniejszą obrał drogę, aby sobie upewnić urząd i dobra, gdyby mu o to było chodziło wyłącznie, że zatem samo już odjęcie mu późniejsze urzędu i zabranie majątności świadczy przeciw jego oskarżycielom. Dla czegoż nie przesładowano z równą zacieklnością Sołtana lub Ostrowskiego, chociaż na posiedzeniu straży głosowali przeciw przystąpieniu do konfederacji targowickiej? Widać zatem, że podsuwane mu przez Linowskiego i innych tegoż kroju pobudki są równie prawdziwe, jak oszczerce twierdzenie Bułhahowa, że każdy, kto zechce, może go kupić! Gdyby tak było w istocie, należałoby podziwiać niedorzeczność carowy, która mogąc wedle upewnień posła swego zakupić najzdolniejszego w owoczesnej Polsce człowieka, wołała opłacać drogo mniej zdolnych, niż jego ująć do swych planów! Jeżeli więc ani Bułhaków ani Targowiczanie nie chcieli go przypuścić do swych robót, jest w tem dowód najlepszy, że zrozumieli wybornie znaczenie głosowania jego w d. 23.

lipca i prawdziwe pobudki, dla czego się odstrzychnął od owych czterech.

Że Kołłątaj kochał szczerze ojczyznę i gotów był zawsze pracować w jej sprawie, dowodzi całe życie jego, a przekonania tego nie potrafi w sercach prawych zachwiać nawet Lucyan Siemiński. Zanim jednakże wyłoży powody, które go skłoniły do głosowania za połączeniem się z Targowicą, niech mi będzie wolno rozważyć, czy doradzana przez owych czterech dalsza na zabój walka była w owoczesnych okolicznościach możebną. Któż miał ją stoczyć? Król był jej stanowczo przeciwny. Połowa straży potępiała ustawę 3. maja, a ziemianie nie spieszyli pod sztandary. Wojsko lubo w części już zdemoralizowane byłoby się może pod wodzą jakiego bohatera było jeszcze walecznie, lecz gdzież było na razie szukać tego bohatera? Jeżeli zatem owa mniejszość straży, mająca w swym środku marszałka sejmu, była rzeczywiście przekonana o możliwości dalszej walki, dla czegoż nie użyła przewidzianego w ustawie rządowej odwołania się do sejmu? Odpowiedź łatwa, że sejmu nie można było zwołać w tak nagłym wypadku. Lecz z drugiej również strony nie należy zapominać, że 30.000 wojska zebranego pod Korzenicami nie mogło marzyć o zwycięstwie, zwłaszcza gdy król nie był za dalszą walką. Mniejszość więc straży, wzywająca do dalszego oporu zbrojnego, działała konsekwentnie pod względem zasad, lecz doradzała rzecz niepraktyczną, ponieważ wiedziała z góry, że ani król ani większość straży nie pójdzie za jej zdaniem, i że zresztą walka dalsza w owej chwili była najzupełniej niemożebną.

(C. d. n.)

CYDA, według Romancero Hiszpańskiego, z przekładu Herdera

spolszczył

WŁADYSŁAW HR. TARNOWSKI

CYDA
pod FERDYNANDEM WIELKIM.

(Ciąg dalszy.)

16.

Od ołtarza i z kościoła
Orszak ciągnie się weselny,
Don Rodrygo i Xymena;
Uroczyste przy Xymenie
Szedł król, opiekun małżonków,
Po Rodryga zasię stronie
Zacny Biskup, a za nimi
Długi orszak włókł się węzem...
Jasnym łukiem tryumfalnym
Orszak zmierzał ku zamkowi,
Z wszystkich okien złotolite
Wiały strojnie wywieszone
Z pompą kobiece, makaty...
Ziemia była potrząśnięta
Gwałtami ziół wonnemi,
Cała wonnym rozmarynem...
Po ulicach i po placach,
Wzdłuż i w szerz aż do pałacu
Brzmiały chórem jednogłośnym
Stróny ciche, melodyjne,
I krzykliwe też cymbały,
Winszowania, śpiewy, płasy,
Śmiechy, dygi i ukłony,
W koło pompa — w koło wrzawa!..

Alwar Fannez wśród przyjaciół
Cyda, zawsze był najpierwszy,
Teraz w liczny sług orszaku
Ozdobiony rogi dwoma
Patrz! udawał sam bawoła!
Antolin zaś, sam na osle
Był za konia tak przebrany,
Że się zdało w krotoczwili
Jakby koń na osle jechał.
Marcin Pelez miał zaś pecherz,
Z którego na wszystkich miotał
Twardym grochem pośród wrzawy —
Do rozpuku król jegomość
Śmiać się raczył, i paziowi,
Co na postrach dam udawał
W maskaradzie tej szatana,
Dał garść pełną Marawedów,
By je między lud rozrzucił —
I prowadził król po prawej
Sam Xymenę a królową
Jegomość sama w swej osobie
Podejmować ją raczyła,
A za nimi dworskie pany.
Dwór był głośny i wesoly —
I pszenicy złote ziarna

Tak miotano, że królewski
Pełny ziarna był kapelusze,
I Xymena pełno miała
Ziaren takichże za gorsem —
A król ziarna jej wybierał
Z śmiechem w obec swojej Pani;
Alwar Fannez co to widział,
Jako bawół ryczał głośno:
— „Zamiast głowy króla Pana
Wolałbym mieć jego rękę!”
— „Dajcie koszyk mu pszenicy!”
Wolał król, „a ty Xymeno,
Gdy przybędzie do pałacu
To uścisnąj go dla żartu!”
Ale od Xymeny duszy
Dalekim był śmiech wesela,
Zbyt się dziś szczęśliwa czuła,
By wesół się okazać —
Wymowniejsze jej wesele,
Niż wesołość najgłośniejsza!

17.

Przed wyniosłym, złotym stołcem
Co zajmował biskup Wiktor,
Na Piotrowej Pan stolicy,
Stała Henryk, cesarz Niemców
I tak żalił się w swym gniewie:
— „Ojcie święty! niosę skargę
Przeciw Don Ferdynandowi
Z Leon — Pannu wszech Kastylii,
„Każde Państwo chrześcijańskie
Zna mnie Panem i zwierzchnikiem,
„On — się tylko zaparł hołdu,
„On — zaprzeczył mi haraczu
Racz go zmusić Ojcie święty,
„By tak jak zachował wiare,
„Cześć nam obu także chował!”
Groźny rozkaz Papież Wiktor
Szle do króla Don Fernanda,
I krucyatą grozi srogą,

Jeżeli hołdu nie wykona
Apostolskiej swej stolicy
I cesarskiej wraz zwierzchności!
Długo w myślach król Kastylii
Tonął, w ciszy przemysłajac,
Przewidując, rozważając,
Jakie groźne będą skutki,
Co ucierpi całe państwo,
Jeżeli król się nieukorzy.
Wszyscy byli tego zdania,
Wszyscy radzą uleść sile —
Tylko Cyd — był nieobecny...
Był to pierwszy czas miłości,
Czas miodowy, w którym rycerz,
W swej, objęciach, snił Xymeny.
Skoro wieść go o tem doszła
Wszystko rzucił — na dwór spieszył!
— „Chyba na srom i niedolę
„Kraju byłbyś zrodzon królu!
„O przenigdy! dobry Panie
„Taka hańba się nie stanie
„Dokąd żyjesz ty — i Cyd!
„Bo królewski honor cały,
„Jak od Boga poruczony,
„Obowiązkiem jest poddanych
„Bronić swojej krwi nie skapiac!
„Kto wam śmiał inaczej radzić,
„Radził rzeczy nie zgłębiwszy
„I twej chwały splamił blask —
„Wyzwij śmiało, tych co grożą!
„Po królewsku wyzwij śmiało!
„Jak lew, raczej, dam me życie
„Nim niemieckie te szerszenie
„W nasze miody pysk umocza,
„W naszych zwycięstw owoc drogi
„Krwawo, łzawo okupiony,
„Bo jeżeli im „Coś” dasz królu
„Tobie „Nie” nie pozostanie.“

(C. d. n.)

PIFAGORAS, USTĘP Z DZIEJÓW HELLADY

skreślił

DR WŁADYSŁAW J. J. J. J.

(Ciąg dalszy).

Jest to pewnikiem historycznym, któremu nikt skutecznie zaprzeczyć nie może, że cywilizacja hellenicka jest najwyższą z cywilizacji osiągniętych przez ludzkość w ciągu jej dziejowego pochodni, a jednak jeszcze nie wystarcza, jeszcze nam nie tłumaczy z jakiego bierze człowiek na ziemi, po co żyje, dokąd idzie? Oto pytania, na które Hellada nie daje nam żadnej odpowiedzi. Na te pytania szukamy zaś koniecznie objaśnień; im więcej o nich zapomnieliśmy byśmy chcieli, tem się one jaśniej i z bliższą przed oczy nam stawiają, a skoro na nie odpowiedzieć nie potrafimy, jak ów sfinks wtrącają nas w przepaść zwątpienia a tem samem niemocy duchowej. Ostatniem słowem cywilizacji hellenickiej to te słowa Achillesa: „lepiej być dziadem na ziemi, aniżeli królem w państwie cieni,” lub owo powiedzenie Teognisa, że najlepszym byłoby dla człowieka, aby wcale na świat nie przychodził, albo przynajmniej, aby o ile możliwości jak najwcześniej umarł. Oto najwyższa mądrość Hellady; mądrość wnosząca jak najgłośniejszą, że największymi zbrodniarzami są ojcowie nasi i matki nasze, a największymi dobrodziejami dzieciobójcy!

A przyznajcie, czy dzisiejsza filozofia panteistyczna nie zdaje właśnie ku temu samemu celowi, czy mądre słowa Achillesa i Teognisa (aczkolwiek wzajemnie się

wylaczające) nie mogłyby się odnosić do każdego, z hellenickiego stanowiska na świat patrzącego człowieka? Gdyby człowiek nie był istotnie niczem więcej jak tylko jednym znikomym pyłkiem w wszechświatowym organizmie przepadającym ze śmiercią ciała na zawsze i stanowczo, czyżby życie jego miało jakiś cel? Czyliby miało jakiś urok, chociażby człowiek w jak najszcześniejszym znajdował się położeniu, chociażby już na ziemi znajdował się w siódmym niebie Mahometa?

To wszystko naprowadza ludzi z myślą i czuciem na drogę romantyzmu, który życiu inne nadaje znaczenie i inną wartość, aniżeli Teognis, a i o życiu przyszłym inaczej sądzi, jak Achilles u Homera.

Najznakomitsi poeci wszystkich narodów i wszystkich czasów tęsknili ku żywotowi przyszłemu, czuli nicotę życia doczesnego. Wiadomo przecież, że starzy Indowie pragnęli już za życia ulecieć w niebiosy, jeden ze znakomitych znawców indyjskich dziejów i literatury (Max Müller) powiada, że Indowie wątpili o tem, czyli są na ziemi, ale żywot przyszły, wieczny, był dla nich pewnością (*Carrière, Hist. sztuki I s. 372*). Cywilizacja Persów i Medów mieści w sobie pierwszą obok Hebreizmu wiele z tego, co za właściwość chrześcijańskiej cywilizacji uważamy (*Laurent, Bad. nad dziej. ludzk.*

I s. 207). Egipcjanie wierzyli w nieśmiertelność duszy niewzruszenie; ich podanie o losach Osirisa było obrazem przedstawieniem losu dusz ludzkich. Dyodor (*I 51*) mówi o Egipcjanach, że przeżyty tutaj na ziemi czas za nic sobie mają, przeciwnie życie zagrobowe w wielkim jest u nich poważaniu; mieszkania żywych nazywają gospodami, a mieszkania umarłych, t. j. groby prawdziwymi mieszkaniami: dlatego też budują nie pozorne domy mieszkalne, ale wspaniałe groby. U Egipcjan napotykały też parę tysięcy lat przed Dantem „Boską komedię” przedstawiającą losy duszy po śmierci, jej pielgrzymki w świecie zagrobowym, sądy nad nią i jej przemiany. Gdyby tak zwana „księga umarłych”, którą do grobów Egipcjan kładziono, w czasach Dantego znana była, możnaby posadzić florenckiego poetę, że z niej korzystał. A ośmieliłbym się tych panów, według których cywilizacja Grecji nie ma nic do zawdzięczenia Egipcjowi, wezwać do porównania najpiękniejszego ustępu z literatury greckiej, dobrze znanego snu Platona z tą boską komedią Egipcjan, a zapewne chyba tylko przypadkowi przypisałiby to uderzające podobieństwo! Nawet i prozaiczny Chińczyk zna życie zagrobowe i przeciwstawia je tułaczemu, ziemskiemu jako nieskończone skończonemu — podobnie jak Turanin (*Carrière* I. c. 202).

Lecz nietylko Oryent religijny, ale także klasyczna ziemia Hellenów miała swój żywot zagrobowy. Tak Epicharmus (*Spies, Logos Spermi* s. 291) woła: ciało z ziemi do ziemi należy, ale duch z wysoka przyszedł na ziemię i tamże powróci! a Plato (*Cratyl* 400 C.) głosi, że ciało jest grobowcem duszy. Gdzieindziej (*Aziach* p. 365 E.) powiada Plato: „zauważ, że gdy już zerwana zostanie łączność a dusza do swego rodzinnego miejsca powróci, pozostałe ciało jako z ziemi pochodzące i bezmyślne, nie jest już człowiekiem; my jesteśmy duszą, jestestwem nieśmiertelnym, zamkniętym w śmiertelnym więzieniu; na naszą niekorzyść otoczyło nas przyrodzenie zmysłowością, której przyjemności są powierzchowne, przemijające i nigdy nie są wolne od cierpień, natomiast cierpienia są tak nieznośne, bolesne i nieustanne, że pozbycie się życia i wyzwolenie z pod jego władzy, przejście ze złego do dobrego stanowi.”

Moglibyśmy dowieść, że nietylko u Chińczyków i Turanów, u Indów i Egipcjan, u Greków i Rzymian, u Babilonów i Asyrów, Hebrów i Perzów, Fenicyan i Syrow, Etrusków i Celtów, Germanów i Słowian wierzone stałe w życie zagrobowe, w tajemniczą przyszłość człowieka po śmierci, ale co większa, najznakomitsi podróżnicy stwierdzają, że nawet między t. zw. dzikimi ludami nie ma miejsca i nie było czasu, żeby nie wierzone w żywot przyszły, zagrobowy. A właśnie ta niepewność pod tym względem daje podstawę romantyzmowi, podstawę silną i niewzruszoną, jak niemniej i wiarę w przyszłe zwycięstwo romantyzmu nad klasycyzmem.

Tej niepewności klasycyzm nie wyrwie człowieczeństwu z jego najgłębszego wnętrza; ta sama niepewność z nieubłaganą koniecznością prowadzi klasycyzm do sceptycyzmu, do niedowiarstwa, a jeżeli co, to pewno sceptycyzm nie może zadowolnić człowieka z głową i sercem. Sceptycyzm jest też najwyższym stanowiskiem klasycyzmu; klasyk kończy tylko na „może” „prawdopodobnie,” a to ostatecznie nie zadowolni człowieka.

Lecz ażeby romantyzm odniósł zwycięstwo nad klasycyzmem, potrzeba, aby równą bronią z nim walczył, podobnie jak spirytualizm prawami z chemii, fizyki i mechaniki powziętymi, walczy z materjalizmem; potrzeba główny nacisk kłaść na to, aby romantyzm poglądy swoje budował na prawdziwym stanie rzeczy,

przedewszystkiem, aby sobie odrębnej logiki i psychologii nie tworzył, aby zaprzestał kształcić się wedle wzorów przez pierwszych romantyków, jak Tiecka, braci Szległów, Novalisa podanych. Romantyk, który jak Tieck zapowiada, że sam dla siebie jest jednym i jedynym prawem w przyrodzeniu, już tem samem pisze wyrok śmierci dla siebie.

Dlatego też wiek dzisiejszy oceniać należy jako epokę walki toczącej się między romantyzmem czyli chrześcijaństwem a klasycyzmem czyli Hellenizmem. Umiejętność a za nią w znacznej części i poezja stają po stronie klasycyzmu, przeciwnie zaś życie samo ku chrześcijaństwu się skłania, gdyż nieskończenie większa liczba ludzkości moralność chrześcijańską t. j. ewangeliczną za jedynie prawdziwą uważa.

Wspomniałem, że o pogodzeniu hellenizmu z romantyzmem ani mowy być nie może. Filozofia Hegla nie będąca w istocie rzeczy niczem innym, jak tylko usiłowaniem pogodzenia romantyzmu Schellinga z klasycyzmem Hellenów, zrobiwszy jak najzupełniejsze *fiasco*, dowiodła niemożności połączenia ze sobą tych dwóch wrogich sobie pierwiastków. Mimo to jednak przyznać musimy, że chociaż system Hegla jako całość nie ma po dziś dzień zwolenników, duch jego jest dzisiaj żywo-tniejszym, niż nim był kiedykolwiek. Możnaby jednak powiedzieć, że dzisiaj nie Hegel, ale klasycyzm i hellenizm w Heglu przyciąga do siebie, wabi, nęci, bawi, lecz wątpię, aby mógł zaspokoić głowę, nie mówiąc już o zadowoleniu prawdziwie chrześcijańskiego serca.

Czem grzeszą ludzie najwięcej? obojętnością bez wątpienia. Obojętność, zimno, brak zapału — oto największa klęska, jaka społeczeństwo spotkać może; ewangelia dobrze powiada: „letni dlatego że nie są ani gorącymi ani zimnymi, wypłuci będą.” Obojętność zdaje się być nawet nieszkodliwą, a jednak jest ona bardzo zgubną dla ludzkości; dostatecznie dowodzą tego dzieje wszystkich narodów: gdzie obojętność ogółem zawładła, tam, rzecz można, wszystko stracone.

Obowiązkiem też jest każdego nie stawać się obojętnym, lecz ile sił mu starczy dążyć do poznania prawdy. Jakikolwiek początkowo zajmie stanowisko, czy klasyczno-helleńskie, czy też romantyczne, jak skoro w dobrej wierze i szczerze pracować będzie, aczkolwiek sam może nie będzie do tyła szczęśliwym, iżby odgadł prawdę, niezaprzeczenie przyczyni się do wykrycia jej, a i to nie mała zasługa; a zasłużenie się ludzkości, to wszystko, co od ludzkiej jednostki żądać można.

W ogniu złoto czystszy się staje, tak też i ostatecznym rezultatem naukowej walki będzie czystsze złoto prawdy. Gdy walka na wszystkich liniach bojowych przeprowadzoną zostanie, okaże się po czyjej stronie słuszność i prawda. Płaszczkiem tolerancji nie pokrywajmy próżniactwa i niedbalstwa naszego, gdyż tolerancja wcale się nie odnosi do zasad, ale do ludzi tylko. Jednostki ludzkie powinniśmy szanować, cenić, kochać, bo one są braćmi naszymi, jeżeli są w błędzie to raczej nad nimi ubolewać wypada, aniżeli korzystając z chwilowej siły nagrać się z nich, ale zasad nie należy nigdy tolerować, przeciwnie — jest obowiązkiem zawsze i wszędzie zwalczać te, które nam się mylnymi być zdają.

Dopokąd znów jaki geniusz nie pojawi się na świecie i nowych nie wskaże ludzkości torów, należy pracować głównie nad zgromadzeniem materyałów, z których w przyszłości nowa świątynia prawdy zbudowana być ma. Materyały te zaś w dwojaki sposób zbierać należy, raz ze stanowiska fizjologii, a powtóre ze stanowiska historii. Klasycyzm kładzie główny nacisk na fizjologię, zaś romantyzm przeciwstawia histo-

rye fizyologii. Klasycy przypuszczają, że świat jest Bogiem, a że Boga po za światem, albo właściwie mówiąc po nad światem nie ma, że tem samem wolnej woli ani Bóg ani człowiek nie ma, bo wszechświat tak w całości jak i w najdrobniejszych szczegółach swoich, jest wpływem bezwzględego rozumu świata, a wszelki nawet najdrobniejszy objaw w świecie jest nieuniknionym, od wieków przez bezwzględny rozum przewidzianym wpływem zarodkowej idei, tkwiącej od początku wszelkiego czasu w tymże bezwzględnym rozumie. Jak dąb nie własnowolnie wyrósł z żołądzi, lecz takim jakim jest, tkwił w ukryciu w żołądziowym ziarnku, tak świat dzisiejszy i przyszły, tak dobrze moralny i umysłowy jak i fizyczny, nie wywiązał się samowolnie lecz z koniecznością wypłynął z bezwzględego rozumu. Otóż z tego wypada, wnioskuje klasycy, że historii właściwie mówiąc nie ma, boż skoro ona jest koniecznym wynikiem danej natury, istnieje tylko natura i jej prawo. Wprawdzie możnaby zapytać: gdzie jest prawodawca? lecz właśnie jest to aksjomatem monistów-klasyków, że prawo bez prawodawcy istnieć może. Według klasyków istnieje ostatecznie tylko jedna umiejętność natury czyli używając najwłaściwszego wyrażenia, fizyologia w najogól-

niejszym tego słowa znaczeniu; inne umiejętności są tylko częścią fizyologii wszechświata. Romantycy inaczej zapatrują się na historię i fizyologię. Według ich sposobu widzenia istnieje umiejętność zajmująca się niezmiennymi w zasadzie prawami natury, istnieje fizyologia; lecz według ich twierdzenia natura jest, jak już Plato powiedział, dziełem sztuki stworzonym przez Boga, a prawa natury są tylko wpływem jego woli. Ależ z drugiej strony romantyzm przyznaje człowiekowi wolną wolę, jako podstawę jego działalności, jako środek czyniący możliwem dobre postępowanie i zasłużenie się; przyznaje mu wolną wolę o tyle, że nawet Bóg nie może jej nieuwzględnić. Skoro więc człowiek ma wolną wolę, ma ją i ludzkość cała, a wpływem tej wolnej woli ludzkości jest historia. Romantyzm uznaje też historię o b o k fizyologii, zaś klasycyzm uznaje tylko historię we fizyologii. Tą drogą poszedł Vico, Hegel, Buckle, Draper, Rénan — umiejętność klasyczna okrzyczała ich wielkimi historykami, ale nieskończona większość szczególnie w dzisiejszych czasach, nawet anti romantycy, jak Zeller, wystąpili przeciw takiemu pojmowaniu historii.

(C. d. n.)

NA ORLICH SZCZYTACH.

Ja gdybym był orłem, gnieździłbym się w górze,

Nademną by wichry szumiały i burze,

Ja z wichrem bym szalał w przegony,

I codziennym zatańczę na Kaukaz zlatywałem,

I ssalbym krew wroga i pierś mu rozrywałem

I w serce nurzałbym mu szpony...

A potem wysoko

Wyteżałbym oko

Do słońca bym wzbijał się grodu,

Tu życie zakrzepło,

Tam światło i ciepło

Dla mego bym czerpał narodu!..

Na twardym bym w końcu pierś strzaskał granicie

I orli mój żywot dokonał,

Na góry rodzinnej usiadłbym gdzieś szczycie

I patrzył na lud mój i — konał!..

Bogdajto słowikiem w zielonym być lesie,

Gdy echo rokosznie gwar piosenki rozniesie —

Ach! błogo bym żywot mój prześnił!

I taką bym zatańczę piosenką zagruchał

Że naród by cały przystanął — i słuchał —

Ja bole bym jego wypieśnił...

Jak słowik co z wiosną

Pieśń kwiląc miłośną

Sam w cierniach swej róży utonie:

Tak jego boleści

Pieśń moja pomieści,

Ból jego zadraży w mem łonie...

We własną pierś moją te ciernie bym wpoił

I znów by piosenka zabrzękała,

Na wyższą, wciąż wyższą bym nutę ja stroił,

Spiewałbym — aż pierś by rozpękała!

O chciałbym skowronkiem uwisnąć w błękiecie

I pieśnią oddychać!.. Ja całe me życie

W hymn jeden, hymn wielki bym streszczał,

I pęty bym spiewał, aż naród by cały

Wzrok rzucił w niebiosa i słuchał zdumiały:

Ja przyszłość bym jego wywieszczał!..

A potem bym z teczny

Tam spłynął, gdzie jęczy

Mój naród w cierniowej koronie

I jeden skrwawiony

Cień wzięty z korony,

Co dziki wróg wpoił mu w skronie,

I niósłbym go w niebo, w błękitów otchłanie,

Gdzie skarga umilka tłumiona,

I wołałbym z płaczem: O Panie, o Panie.

Patrz, naród, Twój naród tam kona!..

O! wiem ja że miło orle mi gdzieś piory

Wzlatywać pod słońce, przepływać lazury,

Bić wroga w oczyszczonych nizinach

Lecz komu by skrzydła nie wzrosły do lotu,

I czyja dłoń słaba do miecza i grotu,

Ten orłem niech będzie w swych czynach!..

Kto lud swój zrozumiał,

Przepieśnić go umiał,

Jak słowik-wieszcz żywot swój przeżył,

Ten zmierzył dal wzrokiem

I ten jest prorokiem,

Kto w życie narodu uwierzył!..

Kto cierpiąc z narodem, przecierpiał ból wszelki

I z nim się cierniowym splótł wieniec,

O taki, wśród wielkich, jedynie jest wielkim;

Choć ludzie go nazwą — szaleńcem!..

M. J. D.

NOWY OBRAZ

Jana Matejki,

przez

Alfreda Szezepańskiego.

(Dokończenie.)

Przed rozwieszonym namiotem zasiadł król w stalowej zbroi, w złotolitym płaszczu, pod nogi rzucono

czarne niedźwiedzie na śnieg. Wyjęta klingę oparł król na kolanach, i trzymając na niej rękę... słucha. Mężkie

jędre oblicze jego wyraża spokój ducha — widać w nim godność i pewność siebie, czujemy w tej postaci żelaznego człowieka, mocarza, który nie potrzebuje dodawać sobie znaczenia miną, lub spojrzeniem.

O kilka kroków usunął się na bok — izby zachowany był wobec obcych majestat króla — niemniej jednak stoi na pierwszym planie obrazu, wielki hetman i kanclerz, twórcy królów, prawa ręka Batorego, Jan Zamojski. Tak samo jak król spokojny i poważny bez żadnego pozowania — bo on wie, że tu bez niego nie się nie stanie, bo on dzierży buławę i pieczęć. Dwie te postaci otacza cała generalicya polska. Za stołem przeglądają papiery Bazyli Ostrogski; widno wojenną, sumiastą i zdziczałą twarz Filona Kmity, który aż ku Wołdzie szerzy spustoszenie. Do rycerstwa i obozu, którego namioty i dymy widać w głębi, odwrócił się Jan Zborowski; mnogo na okolo starszyny i rycerstwa, a jest tam i Heidenstein, sekretarz królewski, przyszły historyk tych wojen, a dalej na prawo jest tam i młody Żółkiewski i hetman huzarski, który tam jakby straż przyboczną trzymał; — bo pamiętał Batory o urządzeniu i prawach kozackich, więc walczyła ona wówczas pod sztandarami Polski.

W takim otoczeniu przyjmuje król poselstwo. Najbliżej stanął niefortunny pośrednik, Possevini, on wprowadza Moskali, on radby ocalić ich przed orężem Polski, bo obiecano mu i nawrócenie się i wyprawę na Turka. Usłyszym niobawem po zawarciu pokoju jak w Moskwie z niego i z papieża drwić będą — lecz wieki nawet oszukaństwa ani Possevina, ani następców jego nieczego nie nauczą. — I kiedy znowu — lecz już ostatnia, za Zygmunta nadarzy się sposobność zapanowania Polski nad Moskwą, znowu jezuita i dwór rzymski zepsują całą pracę i uwiodą niedołężnego króla... Mimo woli te dzieje przychodzą tu na pamięć, a to tem bardziej, gdy ta moskiewska papieżka gra i dzisiaj się odnawia.

Grała Moskwa wówczas w sprawie zawarcia pokoju, tak jak car przykazał. To już nie ono poselstwo, które sobie w Krakowie dumnie poczynało — bo już teraz car nakazał do nóg upaść, a jak ten wielki król Batory da w twarz z jednej strony, nadstawić mu drugą. Więc biskup prawosławny z Pskowa na czele poselstwa ukląkł w ciężkim jaskrawym ornacie pontyfikalnym i podaje królowi chleb na tacy. Za nim inni członkowie poselstwa, bojarzy o tatarskich rysach, z których przebija dzikość, chytrość i upodlenie jako skutek niewoli; jeden w bogatej srebrzystej szacie uśmiecha się pokornie — to Naszczukin; Jelski stary wyciąga rękę z listem od Iwana, inny upadł plackiem na ziemię przed obliczem wielkiego króla; dalej Oboleński stoi ponury i przygnębiony. Za poselstwem eskorta polska, a w głębi widać Psków, jakieś tam przygotowania, może do składania hołdu królowi, jakieś uroczyste oczekiwanie, zapewne na wiadomości o uzyskaniu pokoju.

Oto jest rapsod z tych odwiecznych bojów dwóch państw. Obok siebie spokojnie istnieć one nie mogły — bo Moskwa wisiała nad Polską i Europą jako groźba bardziej gorsza od tatarskiej i tureckiej — a Polska potężna i wolna, naturalna przewodniczka Słowiańszczyzny to nieprzelamana zaporą dla zaborczych żądz Moskwy,

to wał odgraniczający ją od Europy, od Słowiańszczyzny. Był czas, że Polska mogła zapanować, ucywilizować i zassymilować tego rodzącego się olbrzyma. Batory z Zamojskim, a potem Żółkiewski stanęli na jego karku. Okropne to były wojny; w wyprawach Batorego zginęło przeszło 300.000 Moskw, a po kilkadziesiąt mil kraju zamieniono w pustynię, mieszkańców w pień wycinano. Budzący się naród moskiewski, zrzucił jarzmo carów, powołał na tron Polski królewicza Władysława — unia czy wieczyste przymierze Moskwy z Polską było rzeczą jeżeli nie pewną, to możliwą. Ale czarni nie chcieli tam dopuścić liberalnego Władysława, im nie szło o wolność, o pokój, o cywilizację, o chrześcijaństwo — ale o własne panowanie nad światem; oni sądzili że z pomocą lalki swojej, bigockiego Zygmunta IIIgo, zamieniają Moskwę tak jak Polskę w swoją kolonię. Lud moskiewski odepchnął też politykę, która go miała poddać jezuitom, a gdy oligarchowie polscy poczęli rządem następnie na własną rękę zochydząć Moskalom Polskę, wprowadzać im gwałtem fałszywych carów, rzeziemi i pożogą pochody swoje znać — obudzili w tym ludzie poczucie godności i patriotyzmu. Poruszył się, zdobył na poświęcenie i bohaterstwo — i rozpoznał się dla Polski straszliwe wieki wściekłego, nieubłaganego, historycznego odwetu. Kiedyż koniec tym dziejom? jakie wyjście z dzisiejszej matni?

Zaprawdę widok tego tryumfu na obrazie głębiej może jeszcze poruszyć duszę Polaka, jak poprzednio widok rozbiorecznego sejmu, i głębiej ją zastanowić. Bo są obrazy Matejki zarazem lekcją sztuki i lekcją historii. A jakaż to sztuka, co to za malowanie! Wszystko tam żyje; to nie płótno i farby, ale ludzie, charaktery. Na poprzednich obrazach Matejki uderzało i przeważało pewne tło ciemne, ponure, pewna ciężka groza; jakaś żalobność, która francuskiej krytyce nawet zbyt monotonna się wydawała. Obraz ten zupełnie jest odmiennym, i nierównie większe przedstawiał trudności. Tu dzieje się rzecz pod gołym niebem, w białych dzień zimowy. Niebo jasne, słoneczne, a na ziemi śnieg; tu musi wszystko występować w swoich właściwych barwach, zlewać się harmonijnie i mieć dla siebie dosyć miejsca i powietrza. Tu musi się wszystko przedstawiać przed oczami naszymi w naturalnych swoich kształtach i rozmiarach, bez pomocy perspektywicznych złudzeń, które tylko na drugim i trzecim planie obrazu użyte być mogły. A jakaż to trudność była takiego przedstawienia tam, gdzie z jednej strony pompa królewska i wojenna — z drugiej świat wschodni, jaskrawy i uroczysty naprzeciw sobie stoją. Podziwiam tę siłę pędzla, wpatrując się w tych ludzi minionych czasów, rozważam sytuację — ale nie stać mnie na to, żeby krytyczną sekcję tego obrazu przedsiębrać. Komu tego potrzeba, niech sobie dopowie, co chce; — ja spisałem com widział, czem do mnie obraz przemówił i o czem do każdego Polaka przemówić on musi. I zdaje mi się że zrozumiał to dzieło — a świat, który je zobaczy na wystawie powszechnej we Wiedniu, będzie się miał czemu pokłonić. Będzie tam więc Polska — i owa historyczna i dzisiejsza — godnie reprezentowana, bo będzie tam *Litwa* Grottgiera i *Batory* Matejki.

Wystawa sztuk pięknych we Lwowie.

I.

Nigdy jeszcze tak mało nie budziła interesu w mieście naszym wystawa sztuk pięknych, jak tegoroczna.

Przemija prawie bez rozgłosu, a gdyby nie nadszedł obraz Matejki, przeminęłaby bez wspomnienia. Kto tu winien? Czy rzeczywiście publiczność lwowska tak jest

niewrażliwą na piękno, czy ta publiczność szalejąca za muzyką a do wysokiego stopnia posuwająca swój zachwyt w teatrze, miałaby tylko dla sztuki pędzlem tworzonej być nieczułą i apatyczną? Nie sądzę. Dajcie jej rzeczywiste użycie, a przywiąże się do obrazów z równą siłą, jak się przywiązała do fortepianu, gdy gra Mikuli i do sceny, gdy gra Modrzejewska. Wydział lwowskiego Tow. sztuk pięknych, bez wątpienia zbyt mało rozwija zapobiegliwości i energii, wystawy bywają coraz uboższymi a tem samem i publiczność napływa coraz skąpiej. Można by powiedzieć, że właśnie apatya publiczności, niemająca artystycznych upodobań na szerszy rozmiar, jest powodem, że Tow. nie mając zasobów materyalnych, nie może zawiązywać szerszych stosunków, nie może skłonić malarzy do przysyłania obrazów i dzieł sztuki na wystawę mało ogladaną, w której bardzo rzadko zresztą obraz znajdzie pożądanego nabywcę. W tem jednak dowodzeniu zdaje mi się być trochę pokrzywioną loika. Wprowadzenie w życie pewnej instytucji, obudzenie dla niej zajęcia powszechnego, wymaga zawsze pewnych nakładów na początku, zaryzykowania pewnego kapitału, któryby się dopiero powrócił z pomnożonego odbytu. Towarzystwo sztuk pięknych powinno było w pierwszych latach istnienia zaryzykować wszystko, wysilić się, szturmować zdobyć uwagę i interes publiczności, wtłoczyć jej poczucie sztuki w głowę — aż wzwyżajona raz do artystycznego użycia, potęgowałaby w sobie publiczność sama obudzone instynkta, chodziła na wystawy, kupowała obrazy, cenila i tworzyła artystów. Bo sztuka prawdziwa ma tyle siły, co prawda. Ale dotąd wystawy bywają za skromne i za ubogie, za wiele mają cieni obok światła, aby mogły wszechwładnie zapanować nad umysłami do takich wrażeń nieprzywykłymi. Tow. nie ma żadnych funduszy — administracja wlece się leniwo i „jak Bóg da“ — a komitet temu wcale nie winien, skoro, ilekroć zwoła ogólne zgromadzenie akcyonaryuszów, ci się nie zjeżdżają, nie wglądają w braki ustroju, nie pomyślą nad sposobami reorganizacji Tow., i komitet zostawiony na łasce opatrności pędzi dalej żywot tak suchotniczy i głodny

Jak aptekarza, który Romeowi
Sprzedawał gran trucizny . . .

Gdzie kilkaset osób, solidarnie związanych, i odpowiadających za byt i rozwój Tow. on się nie troszczy, tam nie można czynić wyrzutów komitetowi z kilku członków złożonemu, że nie tworzy cudów z niczego.

Wielkim brakiem, zdaje mi się, naszych wystaw jest zupełne prawie pomijanie dobrych obrazów niekrajowego pędzla. Pojmuje dobrze, że zadaniem wystawy jest pielęgnowanie sztuki narodowej i produkcja obrazów polskim pędzlem malowanych, ale to właśnie zestawienie owoców własnej pracy z pracami zagranicy wytworzyłoby płodne współubieganie, otwarłoby szerszy widnokrąg wyobraźni naszych artystów i wywołałoby wymianę duchowej treści pomiędzy naszą a zagranicznymi szkołami. To wszystko nie uszczupliłoby samorodnej ich twórczości, owszem sgotęowałoby ją — a kraina ideałów rozszerzyłaby się dla nich bez miary. Zresztą przy całym uznaniu wysokiego stanowiska, jakie zajęli w świecie powszechnej sztuki Grottger, Matejko, Rodakowski, mogący kiedyś stworzyć szkołę polską malarstwa, trudno nie wyznać, że od artystów zagranicy wielebyśmy się jeszcze nauczyć mogli. A cóż dopiero publiczność! Jakżeby ta mogła dopiero wtedy wykształcić swój smak, rozszerzyć swe pojęcia estetyczne, polubić sztukę we wszystkich jej formach i rodzajach! Wystawa lwowska stałaby się bogatszą, wszechstronniejszą a Towarzystwu przyniosłoby to materyalne korzyści, któreby mu pozwo-

liły coraz bardziej rozszerzać swoje stosunki i swój wpływ.

Jeszcze jedna uwaga wstępna. Mile uderza na tegorocznej wystawie liczna obecność malarzy lwowskich. Dotąd zapełniały salon wystawy prawie wyłącznie malarze szkoły krakowskiej i monachijskiej, w tym roku zjawiała się weale liczna drużyna artystów miejscowych. Grabowski, Raczynski, Tępa, Leopolski, Grabiński, Sidorowicz, Fabiański, Godlewski, Dzbański w dziale obrazów, Piotr Kozakiewicz i Barącz w dziale rzeźby wystawili szereg prac mniej lub więcej udatnych, nie powiązanych wprawdzie typową cechą jednej szkoły, jak np. uczniowie akademii monachijskiej (Brochocki i Malecki), ale za to tem ciekawszy przedstawiający widok, o ile wrodzonym talentem i oryginalnością zastąpić mogli akademickie studia.

Zadaniem Tow. sztuk pięknych we Lwowie było wytworzenie talentów malarskich na miejscu, rozbudzenie w mieście żywszego ruchu artystycznego — w tem leżała żywotność Tow., i przyznać należy, że takowa podczyta być widoczna.

Po tych kilku wstępnych uwagach przechodzę do przeglądu tegorocznej wystawy. Przedewszystkiem uderza w niej i zadziwia zupełny brak obrazów treści religijnej. Zaczepiamy tu o kwestyę zasadniczą. Możeby kto powiedział, że malarstwo religijne nie odpowiada już duchowi obecnego czasu, żyjącego rozumowo, i czerpiącego ideały życia i natchnień artystycznych w sferze realnej. Zamknął się czas wiary i ascezy religijnej, nadeszła pora, w której tylko to, co jest wyrazem i kształtem zdrowego, ciepłego życia, co jest wizerunkiem rzeczywistości, może być płodnym i żywotnym motywem sztuki. Z tem się nie godzę. Jeżeli nie uznajemy już wiary za podstawę duchowego życia, to możemy ją i jej wpływ, religię, uznać przecież jako fakt historyczny, któremu malarstwo i architektura zawdzięczają swe najwspanialsze i najpodniosłe natchnienia. Bez tej ascezy religijnej, bez tego zaczepiania swej myśli o ideały niebiańskie nie byłoby Danta, Angelica da Fiesole, Kaplicy Sykstyńskiej, Madon Rafaela i Sebastjana del Piombo, a już pewno nie byłoby „Sądu ostatecznego“ Michała Anioła ani „Wieczerzy“ Leonarda. Otoż jeżeli trudno dziś wierzyć w prawdę scen niebiańskich, jakie nam opowiada religia katolicka, to można jeszcze przyjąć takowe, jako pełną malowniczości i wdzięku mitologię katolicką, mogącą być naówczas dla każdego nawet racjonalisty tak dobrem i bogatym źródłem artystycznych natchnień, jak była nim od wieków mitologia helleńska. Biblia i wiara przedstawiają nam cały szereg scen i przedmiotów, grupujących się prawie gwałtem w obrazy o bezprzykładnem bogactwie treści i kształtów. Ażeby je malować, można samemu nie mieć wiary, a tylko umieć się wcielić na chwilę w człowieka wiary. Taka inkarnacja nie powinna być niemożliwą nam, którzy tak jeszcze blisko żyjemy czasów przepojonych wiarą, którzy dokoła otoczeni jesteśmy ludźmi, żyjącymi religijną ekstazą. Z ich twarzy zaczerpnąć możemy ten wyraz niebiańskiego rozmodlenia i eterycznego polotu ku Bogu, który potrzebny jest, aby malować apostołów, męczenników i — Madonny. Idealizm w sztuce zyskałby na tem bardzo wiele, gdybyśmy utrzymali w malarstwie religijne motywy, będące zawsze wyrazem jakiegoś wyższego duchowego podniesienia, jakiegoś wyzbycia się pęt ziemskich i tęsknoty za tem, co jest marzone, a więc lepsze od rzeczywistości.

Inna tu jednak nasuwa się jeszcze uwaga. Chodzi mi po prostu o to, że mimo racjonalizmu w życiu i sztuce, malarstwo religijne może mieć zawsze swoje uprawnienie. Tu już nawet trochę zaczepić muszę o

metafizykę. Nie chodzi mi o Boga biblijnego, ani o dualizm Spinozy, ani o monizm Hegla, wyznaje szczerze jednak, że ducha wiary nie uważam za obłąd ludzkości, za mrzonkę przebytego okresu historycznego, ale za konieczny wyraz ludzkiej duszy, za świadectwo jej bytu, chociażby spokrewnionego z naturą, ale po nad jej materialną skończoność wyzierającego. Kto nie może ścierpieć Boga religii, może go uznać pod formą Boga filozofii, a poczucie religijne, a tę jakąś melancholię osiadającą na duszy ludzkiej i tęskniącą za niebem, która wydała tyle ascetów, może uważać za intuicyjne poczucie duszy, że się w sobie nie kończy, że jest owszem częścią szerszej całości obejmującej cały świat inteligencji i ducha. Jeżeli religijną tęsknicę i odnoszenie się do pewnej jednostki (Boga) nazwiemy takim poczuciem cząstki, że jest pewna całość, obejmująca w sobie wszelki byt duchowy, to w takim razie przyjąć możemy religijną extazę i wiarę w Boga za fakt pocieszający, bo świadczący o samoistnym bycie ducha, za fakt uprawniony w każdym okresie ludzkiej cywilizacji. Bóg — jako synteza ducha — przestaje być strasznym dla racjonalisty, może być tylko wstrętnym dla Büchnera. Tych zatem, których historia kościelna wskazuje nam jako ascetów, możemy uznać za ludzi, którzy fałszywie wyobrazili sobie w osobistym Bogu syntezę ducha, ale których poczucie bóstwa miało w gruncie swą metafizyczną prawdę, którzy więc nie popełnili niedorzeczności, ale ulegli prawu ducha, w nich bytującego i z nich przemawiającego.

Tak sobie tłumacząc religię otrzymujemy dwie korzyści. Jedną dla cywilizacji, — bo wtedy nie jesteśmy przymuszani twierdzić, że przez szereg tyłu wieków ludzkość wierząca w Boga cierpiała obłąkanie umysłu, uznając istnienie czegoś, z powietrza zaczerpniętego lub w malignie stworzonego; drugą: dla sztuki, bo wtedy możemy śmiało twierdzić, że extaza religijna, będąca tylko świadectwem, że cząstka ducha w nas ma instynktowe poczucie o swej całości, może być zawsze płodnym i żywotnym motywem sztuki. Dlatego dziwimy się i narzekamy, że malarstwo religijne coraz bardziej upada, dlatego widzimy ze smutkiem, że na tegorocznej wystawie lwowskiej nie ma ani jednego oryginalnego obrazu religijnego — a zaledwie dwie kopie. O tych więc kopiach dziś jeszcze parę słów pomówimy.

Przypatrzmy się naprzód kopii Ant. Gramatyki (w Wiedniu), dokonanej z Van Dycka — „*Objawienie się Matki Boskiej św. Hermanowi*.” Nie jest to jeden z obrazów pierwszorzędných antweperskiego mistrza, ale do-

brze w sobie odbija obydwa wpływy, które go wykształciły. Jest w nim pewna ostryść linii i koloryt więcej matowy; będący znamięm sztuki północnej, jest rzetelna słodycz wyrazu i harmonia w układzie, jako wynik studyów Van Dycka nad malarzami włoskiej szkoły, jest wreszcie pewna cicha melancholia, będąca już piętnem jego własnego, odrębnego geniuszu. Malarz polski umiał trafnie i delikatnie ująć tak ów wyrazisty, jakkolwiek nie szafujący jaskrawymi efektami koloryt Van Dycka, jak i duchowy wyraz Matki Boskiej, po niebiańsku spokojnej, a szczególnie św. Hermana, łączącego w swej twarzy zachwyt i wdzięczność. Wykończenie draperyi i ciała jest bardzo troskliwe, tylko włosy Archaniola, przysłaniającego się z lubą uciechą grupie, są malowane trochę za grubo. Odchodzi się od tego obrazu z wrażeniem, że się widziało pracę sumienną, poważną i szlachetną.

Bardziej jednak przemawia do duszy kopia z Corregia: „*Zasłużenie św. Katarzyny*,” wykonane przez Jana Gałuszkiewicza w Paryżu. W historii życia włoskich malarzy nie ma postaci czystszej i moralnie wspanialszej, jak Corregio (czyli właściwie: Antonio Allegri da Corregio); duszę jego tętnącą na wskroś miłością dla ludzi i słodyczą odmalował przesłicznie w swym dramacie poeta duński Oelenschlager i tam już uczuliśmy się kochać Corregia — ale nikt go tak dobrze, tak słodko przemalować na papier nie zdoła, jak on sam to uczynił pędzlem.

Obrazy jego są sielankami o takim wdzięku i poetyczności, o tak wysoce idealnem poczuciu formy i kolorytu, o tak zawsze dostrojonem i plastycznem ugrupowaniu postaci, że dusza pod ich wrażeniem czuje się dziwnie ukolysana, owionięta jakimś fiołkowym zapachem poezyi. Panu G. udało się bardzo dobrze odtworzyć idealną słodycz w twarzy Maryi i figlarny uśmieszek dziecięcia boskiego, pozbawionego jeszcze samowiedzy, ale w tem braku rozgarnięcia dziwnie też powabnego. U Jezusa niema jeszcze piętna boskości, bo ta w dziecku dopiero tak małym byłaby wyrazem sztucznym i narzuconym, ale boskość spływa nań z Maryi-rodzicielki, na której kolanach siedzi i słubną obrączkę podaje św. Katarzynie, będącej (mówiąc nawiasem) postacią w obrazie najmniej sympatyczną, bo chorobliwie bladą i cikliwą. Koloryt obrazu jest południowo-oliwny, ciepły i soczysty, a całe malowanie zdradza wykwiłtne poczucie artystyczne. Technicznie isticie duchowe przewiewa się przez cały ten obraz. Szczerze winszujemy panu G. kopii wykonanej tak dobrze, wiernie i poetycznie.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

(Scena z „*Makbeta*.” — „*Fortepian Berty*.” — Komedye p. Stanisława Dobrzańskiego. — „*Adryanna Lecowvreur*.” — Pani Modrzejewska.)

Zniewolony chorobą zaniechać bywania przez pewien czas w teatrze nie mogę podzielić się wrażeniami kilku ostatnich występów pani Modrzejewskiej w „*Hamlecie*,” „*Dalili*,” „*Beatrix Cenci*” i „*Fru-fru*,” ale to mię pociesza, że z wyjątkiem „*Beatrix*” są to wszystko role tej artystki, we Lwowie już wielokrotnie widziane i słusznie osądzone.

Przechodzę więc od razu do kwodlibetowego przedstawienia (d. 1 b. m.) na fundusz „*Opieki narodowej*,” które oprócz części spiewanej przyniosło nam parę scen z „*Makbeta*” i dwie komedyjki. Makbeta grał p. Ładno-

wski, Lady Makbet pani Aszpergerowa. Odegrano sceny zabójstwa Dunkana. O ile z tego, bardzo zresztą wybitnego ustępu wnioskować możemy, p. Ł. byłby powołanym do znakomitego odtworzenia całej postaci Makbeta. Jednej tylko rzeczy nie dostawało grze jego. Makbet jest naturą heroiczną, pierwiastkowo nawet wzniosłą i po rycersku szlachetną, ale żywiącą w swem szerokiem łonie nieuleczonego demona ambicji. Cały dramat Makbetowski jest pasowaniem się tej ciemnej potęgi, zalegającej dno duszy a uzmysłowionej w czarownicach ze — sumieniem... Rozprawa tych żywiołów Makbetowego wnętrza jest dlań niełatwą — męczy się i wyteża nerwy, aby odegnąć posępne wiedźmy z przed wzroku ducha, to znowu, aby stłumić

reakcję sumienia. Makbet musi więc mieć w owej scenie IIgo aktu ślady zmęczenia fizycznego i moralnego na twarzy, głos jego powinien drzeć bezdzwicznie, pierś febrycznie się podnosić i opadać, a scena ze sztyletem powinna się przedstawić jako ostatni pojedynek sumienia z namiętnością. To wszystko było u p. Ł., ale nie było piętna heroicznego i wzniosłego na tej postaci, które było Makbetowi właściwem w akcie I, które jest dlań koniecznem jeszcze w akcie II, a które się dopiero stopniowo zaciera w miarę tego, jak Makbet coraz bardziej przechodzi w prostego zbrodniarza... Powinno się czuć w nim spętanego Tytana, którego jedność i siła jest bezprzykładną, a w którego zamąceniu wewnętrznem dostrzedz można ostatnie jeszcze przebliski wzniosłego bohatera. Makbet tak złamany w pierwszej scenie aktu IIgo, jakimże byłby w ostatnim? Jakichby kontrastów potrafił użyć p. Ł., aby siłę tego wewnętrznego upadku i rozprężenia przestopniować przez cały rozwój dramatu i doprowadzić go w akcie V do szczytu? Po za tym błędem zasługuje gra pana Ł. na bezwzględne uznanie. Szczególniej sceny po zabójstwie Dunkana były oddane z przejmującą i całe rozprężenie duszy wiernie malującą grozą.

Uważam to prawie za osobistą przysługę wyrządzoną mi przez panią Aszpergerową, że tak a nie inaczej pojęła rolę lady Makbet. Uważałem zawsze, że tylko takie jej oddanie ma swe prawdopodobieństwo uzasadnione w naturze ludzkiej i w warunkach dramatycznego charakteru. Miałem niedawno długi spór z bardzo znakomitym znawcą sztuki, który od lady Makbet żądał posągowego spokoju zbrodni, żądał tak zupełnej pewności siebie w chwilach osnuwania i dokonywania czynów przerażających, że taka lady Makbet wydała mi się zjawiskiem nieludzkim, pozbawionem zresztą dramatycznego interesu, bo nie przedstawiającem od pierwszej do ostatniej sceny żadnego psychicznego rozwoju. Taką np. kobietą z marmuru była w tej roli pani Rakiewiczowa. Był to posąg o wspaniałych liniach, nie było człowieka — a my tylko dla ludzi żywimy na scenie interes. Pani A. pojęła postać lady Makbet zarówno silnie, ale stokroć prawdziwiej i szlachetniej. Była to również tytaniczna walka dwóch sprzecznych żywiołów, ale to już nie były żywioły duszy: namiętność i sumienie; z jednej wprowadzie strony i tu grało rolę sumienie t. j. jego reakcja przeciw zamierzonej zbrodni, jego trwoga i odraza przed nią, ale z drugiej stanęła siła woli, pokonująca wszelkie skrupuły owej lepszej części człowieczeństwa. Pani A. po mistrzowsku odmalowała te męczące wysiłki woli, chcące reakcję sumienia zagłuszyć, miała na drżących ustach piekielny śmiech, który jednak nie był śmiechem istoty pewnej siebie, ale konwulsyjnie ze sobą się łamiącej. Chód zaś lady Makbet ku łóżnicy Dunkana i gra jej fizjonomii na wschodach do sypialni królewskiej były najsilniejszym i wspaniałym momentem tego pasowania się olbrzymiej woli z kobiecą naturą. Tak tylko przedstawiona lady Makbet ma swoją prawdę, swoją siłę i swą dramatyczność.

Wdzięczna komedijka pp. Th. Barrière i Lorin: „Fortepian Berty“, o której powiedziećby można z Juliuszem Claretie, że ma woń lilii lub dymiącej pulardy, była odegrana z tak wzorowym *ensemblem*, że mieliśmy małą biesiadę umysłu. Pani Modrzejewska (Berta de Beaumont) olśniewała wytworną elegancją i poetyczną czułością, a pan Kwieciński (Frank) grał lekko, sympatycznie i uczuciowo. Z serca winszujemy p. K. gry tak milej, tak pomyślanej wdzięcznie i odczuć tej delikatnie.

W ostatnich czasach widzieliśmy na scenie tutejszej dwie krotchwilę p. Stanisława Dobrzańskiego. Chcielibyśmy wysnuć sobie jakiś pewny wniosek, czy p. D. ma talent pisarski i czy uboga nasza literatura dramatyczna może w nim powitać adepta obiecującego? Przyznaję jak inni tutejsi krytycy, że komedye p. D. mają wiele ruchu i życia. Trzeba być ślepym i głuchym, aby tego nie uznać; mają nawet wiele śmiechu, ale czy to już wszystko? W komedjach p. D. — to wszystko, ale prawdziwa sztuka mówi, że to zaledwie surowy budulec... Chętniebyśmy pragnęli dostrzedz w tych wiotkich utworach pewnej szerszej myśli, pewnego sensu logicznego, pewnych dążeń, aby odtworzyć ludzkie stosunki, pochwycić ludzkie typy, powikłać je we wiązkę komicznych ale prawdopodobnych sytuacji i dać widzom pokarm, któryby ich rozśmieszył i zabawił nie jak się bawi dzieci, ale dojrzałych a lubiących dobry humor ludzi. Bo cóż to jest śmiech? W życiu śmiejemy się z lada błażostki, z czerwonego nosa, z lada urwanej poły od fraka — ale w tym śmiechu nie wyłania się istota nasza — jest to sobie jakaś bezmyślna gra nerwów, w której dusza i umysł nie biorą udziału. Taki śmiech towarzyszy komedjom p. D., które się strzegą wszelkiego dowcipu osnutego na poważniejszym wnikięciu w stosunki ludzkie, wszelkiej refleksji humorystycznej, ale choć trochę głębszej. Że p. D. ma nieco wrodzonego dowcipu — to widać, że ma pewną zręczność w scenicznym układzie swych komedii, że umie grupować, rozstrzelać i skupiać swe figury, płać i rozsnuwać intrygę, to widne tak z „Podejrzaną osobą“, jak z „Onufrego“, ale że tych wrodzonych zasobów nie zapragnął poprzeć podłożeniem tła głębszego, kompozycją gruntowniejszą charakterów, zważaniem na logikę i tworzeniem kolizji uprawdopodobnionych wzorami życia a nie tak banalnych, jak w „Onufrym“, tego na teraz nie możemy wybaczyć p. D.; pewni jednak, że z czasem pojmie autorstwo dramatyczne bardziej na seryo, piszemy tych parę uwag przyjaźnych.

Jeszcze „Podejrzana osoba“ z pominięciem jednego, za grubego i cynicznego dowcipu (?) mogłaby się jako świeteczna forma utrzymać, zwłaszcza przy komicznej grze p. Doroszyńskiego (Zdziebko), ale „Onufry“ razi już nazbyt swą bezmyślną intrygą, aby nawet rzadki talent p. Nowakowskiego mógł go uratować. Tu nastrocza mi się uwaga, czemu dyrekcyja tak rzadko powierza rolę panu N., który jest zawsze artystą tak oryginalnym, tak myślącym i wszechstronnym? Zaiste p. N. jest godnym daleko piękniejszych zadań artystycznych, jak rola Onufrego.

Wczoraj pożegnaliśmy w roli „Adryanny Lecouvreur“ panią Modrzejewską. Czujemy potrzebę wypowiedzenia w chwili pożegnalnej kilku uwag ogólnych, jak to się zwykle czyni, będących syntezą pojedynczych sądów o grze artystki w jednej lub drugiej sztuce. Żeśmy to jednak raz już w obszerniejszem uczynili studyum, pozwalamy sobie z niego wyjąć tu parę ustępów mogących służyć na ten rok za zamknięcie rachunków z wielką artystką:

„Tajemnicą sztuki dramatycznej jest zawsze i to przede wszystkim ujęcie zasadniczej idei w charakterze mającym się przedstawić, tej idei, która powinna przelać się całkowicie w szczegóły i tak w nich utonąć, ażeby każdy moment gry był plastycznym jej tylko wcieleniem i żeby ona widzowi wypływała z każdego szczegółu jasno i wyraziście, jako synteza wrażenia. Musi to być najdokładniejsze zlanie się obu czynników. Idea nie może sobie wynaleźć innego środka do zewnętrznego objawienia się jak w szczególe gry, a każdy znowu ów szczegół,

każdy moment jest tylko wtedy uzasadnionym logiką piękna, jeżeli jest skończonym i jedynym wyrazem idei. Bo estetyka mówi, że każda idea ma tylko jeden, sobie właściwy sposób plastycznego wyrażania się, ale za to w tem wyrażeniu zawiera się już skończenie i doskonałe. Otóż wynaleźć ten właściwy zawsze kształt zewnętrzny na myśl zasadniczą charakteru, w każdym szczególe okazać ją w pełnem świetle a przytem nie zatrzeć znaczenia szczegółu, to jest zadaniem może najtrudnijszem dla artysty dramatycznego. Ten wysoki przymiot posiadała w całej pełni nasza wielka artystka. I ztąd to płynie owa harmonia w pojedynczych fazach jej gry, bo każdy moment gry jest tu logicznym rozwojem i wykańczaniem się w sobie organicznem tej idei, która stanowi pierwiastek całego charakteru. W kreacjach pani Modrzejewskiej jest taka surowa logika, jak w życiu natury i ducha. Jej gra jest nieskończonem rozniewaniem się szczegółów, jak w kalejdoskopie i równoczesnem logicznem budowaniem się idei, która jednak w każdym już szczególe jest całkiem widoczną i przeźroczystą, ażeby potem na końcu raz jeszcze wypłynąć jako jedność zamknięta w sobie mozaikę szczegółów. Pierwszą więc cechą gry pani Modrzejewskiej stanowi doskonała harmonia pomiędzy zasadniczą ideą charakteru a jej wcieleniem się w szczegóły.

„W ostatnich wierszach zaczęliśmy już mimowolnie o drugi wysoki przymiot tej artystki, który jest najwyższą jej chwałą i oryginalnością. Nie ma sfery myśli lub działania ludzkiego, gdzieby nie walczyły pod różną postacią te dwa pierwiastki: idealizm i realizm. Najwyraźniej dla pojęcia i zmysłów ludzkich występuje ta walka w sztuce dramatycznego przedstawienia, gdzie tak wiele zależy właśnie na widomej każdemu, zmysłowej formie. Otóż od dawna dzielą się artyści dramatyczni na zwolenników idealizmu i realizmu w grze i każdy też z tych obozów wydał w czasie znakomitych artystów. Najdoskonalszym przedstawicielem pierwszej szkoły był w Niemczech do niedawna Józef Wagner, do drugiej należy pod pewnym względem nasz Jan Królikowski, jakkolwiek w nim już występuje realizm ułagodzony i podający rękę drugiemu kierunkowi. Pani Modrzejewska jest tak szczęśliwą, że zdaniem naszym wynalazła sposób połączenia tych dwóch pierwiastków w jedną, wyższą, prawdziwie poetyczną całość. Gra jej wypracowana jest do najsztudniejszych odcieni, wyrzeźbiona w najdelikatniejszych przejściach psychicznych, wykończoną z dokładnością natury, jest więc wzorem realistycznego pojęcia sztuki a równocześnie jakaz to barwa poetyczna rozlewa się po każdej kreacji tej artystki i dźwięczny ku nam echem ideału! Wykończenie realistyczne w szczegółach i równocześnie przeziębienie wszystkiego kolorytem idealnym, to, ja myślę, jest najwyższym problemem sztuki. Tę jej potrzebę pojął jasny duch naszej artystki i dlatego druga, a zupełnie oryginalną, cechą jej gry jest: pogodzenie obu pierwiastków sztuki, idealizmu i realizmu w wyższej jedności.

„To byłaby, że tak powiem, metafizyczna strona moich obserwacji. Ale pani Modrzejewska pomieściła w swoim talencie tyle różnorodnych zalet i to w najwyższej mierze, że niepodobna nie zwrócić na nie krytycznej uwagi. Taką właściwością niezwykłą jej gry jest doskonała, prawie klasyczna miara w przedstawianych przez nią przejściach uczuć i charakterów. U niej to właśnie jest ta granica, gdzie najpoetyczniejsza sztuka zlewa się z prawdą natury. Patrząc na nią w każdej fazie uczucia, w każdym wstrząśnięciu namiętności, w każdym rysie charakteru, zapominasz zupełnie,

że patrzysz na scenę a nie na życie, bo masz sobie wszystko wyłożonem tak jasno, z taką prostotą i namacalną prawdą natury, z takim pominięciem wszystkich spłowiałych efektów rutyny scenicznej, z tak łagodnem umiarkowaniem, które w sobie zarazem mieści prawdziwą siłę! — tylko że wszystko jest powleczone wdzięczną gazą szczerzotej poezji. Ale do tego potrzeba całkowitego przelania własnej istoty w charakter przedstawiany, ażeby w grze nie pozostało nic z artysty, ażeby taka Ofelia, taka Julia wszystko co myśli, czuje i mówi, myślała, czuła i mówiła z głębi istoty własnej a nie artystki. Pani Modrzejewska przed każdą swą rolą zaumiera jako artystka, aby, jak Fenix, z własnych popiołów wygrzebać się potem taką Ofelią lub Julią... To zupełne zatarcie własnej realnej istoty, ażeby się za to odrodzić tem promiennej w niezamąconej już niczem sferze ideałów sztuki, jest także najwyższem zadaniem artysty, które dopełnia pani Modrzejewska umiając z rzadkiem mistrzostwem przelać się zawsze z całą swoją istotą w przedstawiony przez siebie charakter dramatyczny.

„To są wszystko wewnętrzne cechy talentu naszej artystki, nadające wszystkim jej kreacjom skończoność organiczną i zarazem ów koloryt idealny. Sztuka jednak dramatycznego przedstawienia mieści w sobie jeden nieodzowny jeszcze pierwiastek, który w niej z większą niemal siłą występuje, jak w rzeźbie. Jest to: plastyka zewnętrznego pojawu. Sztuka o tyle utrudniona ma spełnienie tego przeważnego warunku, że gdy rzeźbiarstwo wykańcza swe linie i zarysy w piękną całość na marmurze, bo kamiennym materiale, to plastyka sceniczna jest pełną życia i ruchów, które tu trzeba co chwila misternie ustrajać i układać, ażeby ciągle spływały w harmonijną i wdzięczną całość. Otóż, jeżeli który, to ten przymiot posiada pani Modrzejewska; każda jej poza tragiczna, każde jej poruszenie najłżejsze czyni z niej doskonałą posąg, szukający tylko nadaremnie nowożytnych Praxytelesów. Ale naszej artystce nie chodzi tylko o zmysłowe czarodziejstwo wrażenia, jej zależy na tem, by przez to falowanie ciała dopomódz zawsze do tem doskonalszego wyrażenia się idei. Jej plastyka jest na wskrós duchową, w każdej linii, w każdym załomie, każdym poruszeniu ciała jest przepromieniona ideą.

„Ceniąc tak wysoko artyzm pani Modrzejewskiej nabyłem, sądzę, prawa uczynić też zarazem uwagę, że ten prześliczny talent ma jednak swoje strony mniej doskonałe. Są pewne sfery sztuki leżące po za jego zakres i dokądby artystka bez krzywdy dla swej znakomitej twórczości na innem polu, sięgać nie powinna. Zapytajmy więc naprzód, gdzie to leży owa właściwa sfera, w której pani Modrzejewska jest pierwszorzędną mistrzynią? Sferą tą, mojem zdaniem, jest serce i wszystko, co z niego płynie.

„Wszystkie charaktery, których tłem jest serce z jego boleścią, rzewną tęsknotą i łzawym nastrojem, tam pani Modrzejewska ze swym wdziękiem smętnym na twarzy, ze swym głosem pełnym słowiczych melodii i miłosnych upojen, wywiera na duszy wrażenie niewysłowione, wstrząsające. Marzenie dziewicze, spokojną głębokość uczucia i rozpaczliwą boleść spekanego serca, maluje ta artystka z nieporównanym wdziękiem i przepychem prawdy, dlatego scenę balkonową Julii i sceny obłąkania Ofelii, uważamy za niedościgłe wyżyny sztuki, jak znowu Maryję Stuart (Szylera) za najbardziej wykończoną i prawdziwie klasyczną, jakkolwiek mniej genialną jej kreację.

I tam, gdzie ta, dziewicza rzewność uczucia uderza w inny, gorętszy ton, gdzie marzący spokój wzbiera falą wezbranej namietności, a owa spiewna błogość duszy zamęca się żądzą rozkoszy, nawet i tam jest pani Modrzejewska zawsze mistrzynią (Dalila, Marya Stuart, Słowackiego). Namietność jest spotęgowanym dźwiękiem serca, jeżeli nie przechodzi w chuc, już czysto cielesną i dlatego to pani Modrzejewska przedstawia ją z równie wysokim artystyzmem, bo wszystko, co pochodzi z serca, stanowi właściwy zakres jej talentu.

Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

LITERATURA. „Co Bóg dał.“ Wydał P. S. Ejsmont. Ozdobione rycinami A. A. Ejsmonta. Kijów. W drukarni uniwersyteckiej str. 367. 1872. Zbiorowe to pismo, jest dalszym ciągiem wydawnictwa rozpoczętego w roku 1870 w Kijowie książką: „Kwiaty i owoce.“ Są to prace dawnych i po raz pierwszy występujących pisarzy. Znajdujemy między innymi tu W. Koronowicza: „Bajron sceptyk, kosmopolita i zwiastun socjalizmu“, Antoniego Nowosielskiego: „O materializmie w nauce i życiu“ i „Miłosierdzie jako strona czynna miłości“, I. Kotkowskiego: „Przedmiot, znaczenie i cel nauki i geografii“, T. hr. M. „Rozdzina“ i „Studia o Heinem“, powiastkę B. Dolegi: „Obrazek genialnego oficyalisty“, pełen tryskającego humoru, w części zaś poetycznej tłumaczenie „Legendy wieków“ W. Hugo, dokonane zdolnym piórem A. Pługa i poematu Lermontowa: „Bojar Orsza“, przez L. Kozłowskiego, jakoteż misteryum z dziejowych podań: „Mysza wieża“, opiewające znaną baśń o Popielu i myszach, napisane, jak się domyślają, przez Aleksandra Groze. Wydanie książki zaleca się starannością i ozdobione jest litografiami.

— Biblioteka warsz. podaje słynne dzieło H. Taine'a: „Historia literatury angielskiej“ w skróconym przekładzie Edwarda Lubowskiego.

— Tygodnik wielkop. umieścił rozprawę Leopolda Winklera: „O literackiej i publicznej działalności Józefa Korzeniowskiego“, a obecnie drukuje prace St. Nowińskiego: „O języku i literaturze narodowej“. Nakładem tegoż pisma wyszły obrazki współczesne J. J. Kraszewskiego: „Z życia awanturnika“, jako przedruk z Dziennika Poznańskiego.

— Ukończyło się właśnie wydawnictwo *zupelnych dzieł Szekspira* w przekładzie niemieckim M. Deliusa (Friderichs, Elberfeld), sławnego znawcy literatury szekspirowskiej i wzorowego tłumacza. Wydanie popularne i tanie.

— Guttman Oskar. Grundsätze der esthetischen Bildung des menschlichen Körpers. Mit 98 Holzschnitten. Leipzig J. J. Weber 1871. Bardzo ważne dla artystów dramatycznych.

HISTORIA. Laboulaye Edward. Geschichte der vereinigten Staaten von Amerika. Mit einem Vorwort von J. C. Bluntschli III Band. Geschichte der Verfassung. Heidelberg Winter 1871.

— Ulrich von Hutten. Ausgewählte Gespräche und Briefe, übersetzt von Dr. Otto Häckel. Historisch-politische Bibliothek. Berlin Heiman. 1871.

WYDAWNICTWA. W Berlinie wychodzić będzie pismo zbiorowe: „Deutsche Zeit- und Streitfragen“, pod redakcją Fr. Holtzendorffa i W. Onckena, które w peryodycznych zeszytach umieszczać będzie rozprawy traktujące żywotne pytanie obecnego czasu, dotyczące szkolnictwa, kwestyi robotniczej, kościola, polityki i t. d. Naprzód pojawiają się Langa: *Życie Chrystusa i kościół przyszłości*, Roschera: *Waluta i reforma monetarna*, Stahla: *Rozwój kwestyi robotniczej*, Caro: *Frusy i Polska*, B. Meyera: *Reforma uniwersytetów*, Thaera: *Mieszkania robotników*.

TEATR. W teatrze lwowskim zapowiadają na bieżący miesiąc wznowienie następujących sztuk: „Serafina“, W. Sardou (główna rola: p. Aszpergerowa), „Lekarz swojego honoru“ Calderona (główna rola: p. Ładnowski), „Margrabia de Villemer“, Georges Sand (główna rola panna Deryng). — Najnowszyimi utworami bogatej literatury dramatycznej Niemiec są: „Lady Esther“, dramat H. Bohrmanna, grany we Wrocławiu; krytyka podnosi sceniczny układ i szlachetną dykcję; „Pombal“ Juliusza Werthera, grany w Mannheim; „Gustaw Waza“ Bernarda Scholca, grany we Frankfurcie; „Gudrun“ Juliusza Grossegue, przygotowyjący się w teatrze Weimarskim. — W Monachium przedsta-

„Sądzimy jednak, że role, w których grają inne gwałtowniejsze akordy duszy, gdzie już nie owe wdzięczne namietności zapełniają tło charakteru, ale gdzie w tragiczną kolizję występują inne, potężniejsze siły czynu i gwałtowniejsze w swych wybuchach prądy duchowe, tam świetlany, łagodny talent pani Modrzejewskiej traci swą siłę, bo on jest na wskróś kobiecym, a w takich rolach (Balladyna, Lady Makbet itd.) potrzeba już męskiej siły.“

Bronisław Zawadzki.

wiono z wielkiem powodzeniem tragedję Corneille'a: „Cyd“, w przekładzie Schneegansa. — W Lipsku przedstawiono operę Franciszka Lachnera: „Katarzyna Cornaro“ pod osobistym sterem znakomitego kompozytora. — W Gymnase paryskim grają z ciążem powodzeniem dramat Th. Barriera i Préboisa: „Hrabina de Sommerive.“

— Komitet warszawskiego Tow. zachęty sztuk pięknych ogłosił trzy konkursy: malarzski, rzeźbiarski i architektoniczny. Tematem pierwszego jest wymalowanie: „Miłosierdzia“, drugiego uplastycznienie: „Wiary“, trzeciego przedstawienie projektu: „Zakładu publicznej zabawy“. Termin do 30 Listopada 1872; nagroda w każdym dziale wynosi 200 rs.

NEKROLOGIA. Henryk Suchecki, lingwista polski i słowiański, profesor uniwersytetu Jagiellońskiego zmarł d. 3. b. m. w Krakowie, mając lat 61. Zmarły był od r. 1857 do 1865 profesorem języka i literatury polskiej na uniwersytecie w Pradze i członkiem wielu towarzystw naukowych.

Walne Zgromadzenie oddziałowe Towarz. pedagogicznego odbędzie się w Niedzielę d. 7 b. m. w wielkiej sali ratuszowej o godzinie 10 rano.

Porządek dzienny: 1. Protokół i sprawozdanie z czynności Zarządu. 2. Wybór nowego Zarządu. 3. Odczyt prof. S. Sobieskiego: „O wierszach G. Piramowicza.“ 4. Wniosek Zarządu o podziale oddziału lwowskiego na dwie sekcje. 5. Bilans roczny dochodów. 6. Wnioski członków.

Z Zarządu oddziałowego Tow. pedagog. Lwów, d. 4 lipca 1872.

Ciągle trwająca jeszcze choroba autora „Kalejdoskopu“ spowodowała znowu opóźnienie w przesylce rękopisu; mamy nadzieję, że od przyszłego numeru druk już nie zostanie przerwany.

Składka na fundusz szkół ludowych.

Pni J. Z. 2 złr. — Z kwotą poprzednią 34 złr.

Od redakcyi. Świt umieszcza inseraty w osobnym półlarkuszowym dodatku. Przyjmują takowe: we Lwowie Agencja Czasu p. Ant. Piątkowskiego, w Krakowie Agencja Świtu w księgarni p. J. Wilda, we Wiedniu p. A. Oppelik Wollzeile, 22 i pp. Haasenstein & Vogler, Neumarkt 11, w Paryżu Wny pułkownik W. Raczkowski Rue du Pont de Lodi nr. 1.

Oplata: za wiersz drobny (petit) 6 ct., oraz należytość stemplowa po 30 ct. za każdorazowe ogłoszenie.

Ktoby posiadał niepotrzebne mu pierwsze numera Świtu może zbyć takowe po cenie podwójnej w Redakcyi tego pisma.